Nr 38. (porz. 170.) Kraków, sobota d. 20. września 1902. Rok V.

# OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Właściciele: Dr Michał Danielak i ks. Andrzej Szponder.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu" jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2. Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu", Kraków, ul. Pijarska l. 2.

**PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!**

## POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

### Tylko 1 korona!

**Każdy nowy Czytelnik, który zaraz zapłaci 1 koronę, otrzymywać będzie „Obronę ludu" co tygodnia aż do Nowego Roku. Pieniądze należy nadsyłać pod adresem: Administracya „Obrony ludu" w Krakowie ulica Pijarska l. 2.**

---

# MORSKIE OKO NASZE!

Kawał pięknej ziemi polskiej w Tatrach wraz z jeziorem, zwanem «Morskie Oko« i z Czarnym Stawem, wraz z lasem i brzegami, który od wieków należał do Polski, a teraz chciał go nam gwałtem wydrzeć prusak Hohenlohe przy pomocy węgierskich żandarmów — otóż ten kawał ziemi wraz z wodami sąd rozjemczy w Gracu zebrany przyznał Polsce i wydał wyrok, że ani Prusak ani Węgier nie mają prawa do niej, że należały do Polski oddawna i teraz należą. Wyrok ten wywołał w całej Polsce radość. Uratowaliśmy z rąk prusko-węgierskich szmat pięknej ziemi i załatwiliśmy spór, który się toczył dziesiątki lat. Sprawy pilnował hrabia Władysław Zamoyski, pilnowali jej posłowie nasi do Rady Państwa i do Sejmu, bronili praw naszych gorliwie i gorąco posłowie Kozłowski i Danielak. Poseł Daniek jeździł na sąd do Gracu, jeździł następnie ze sądem na oględziny spornego gruntu i pomagał, by wyrok wypadł na korzyść Polski.

Przed procesem był jeden z polskich dziennikarzy u dra Danielaka, aby się poinformować i poznać dokładnie sprawę Morskiego Oka — tak opisał rozmowę swoją, którą podajemy za *Dziennikiem polskim*, aby czytelnicy poznali, że jeszcze nie skończona sprawa z Węgrami, że jeszcze będziemy musieli upomnieć się o inny kawał ziemi polskiej, który Węgry zagarnęły i trzymają.

Przedsiębiorąc — pisze ów dziennikarz — oględziny na miejscu spornego terytoryum przy Morskiem oku, przed rozpoczęciem procesu sądu rozjemczego w Gracu, odwiedziłem w Zakopanem posła nowotarskiego dra Michała Danielaka. Rozmawiając z nim wszedłem od razu *in medias res*, zapytując go na wstępie, czy jako poseł tej ziemi, zajmuje się sprawą sporu granicznego między Galicją a Węgrami.

— Zajmuję się sprawą — odparł — nawet bardzo gorliwie jako Polak, następnie jako poseł Nowotarszczyzny i jako członek komisyi dla Morskiego Oka poselskiego Koła polskiego i komisyi wybranej specyalnie przez wiec zakopiański dla strzeżenia praw naszych, w którym wzięli udział przedstawiciele ze wszystkich ziem polskich.

Następnie mówił dalej:

— Całe Tatry były polskie od czasów niepamiętnych. Mieszko I i Bolesław Chrobry władali nietylko całym Spiżem, lecz północnemi Węgrami aż po Cisę i Dunaj. Spiż dostał się Węgrom tytułem wiana za czasów Bolesława Krzywoustego, a za Jagiełły znaczna jego część wróciła do Polski jako zastaw dokonany przez dłużnika króla polskiego, cesarza Zygmunta. Austrya, ktora faktycznie pierwsza przyłożyła rękę do rozbioru Polski przez zabór Spiżu polskiego i znacznej części ziemi sądeckiej, nie miała do tego najmniejszego prawa. Nie mówię o zaborze Sądeczczyzny, bo ten był oczywistym pogwałceniem państwowych praw Polski, lecz także co do Spiżu, bez oddania długu zaciągniętego przez cesarza niemieckiego u króla Władysława Jagiełły, żadnego nie było tytułu prawnego. Potem zabrano nam cichaczem po r. 1800 kawał Tatr pomiędzy Polskim Grzebieniem, gdzie była granica właściwej Polski od Spiżu, a pasmem skał Żabie i Rysy, teraz zaś chciwa ręka madjarska sięga jeszcze dalej, urągając z przyrody, która szczytem gór ustanowiła naturalną granicę. Najzwyklejszy człowiek będąc na miejscu spornem, lub nawet rzuciwszy tylko okiem na kartę, musi widzieć, że granica nie moze iść inaczej, jak Żabiem, wierchem Rysów i szczytami Mięguszowieckimi. Szczyty turni stanowią olbrzymi mur cyklopów, oddzielający dolinę Morskiego Oka i Czarnego Stawu od dalszej ziemi tatrzańskiej. Prowadzenie granicy środkami jezior przy takiej przyrodzonej konfiguracyi, jest wręcz niedorzecznością.

Po chwili dodał:

— Da Bóg, iż w przyszłości upomnimy się o ziemię spiską, którą Węgrzy przywłaszczyli sobie bezprawnie.

— Amen! — zakończyłem.

— Morskiego Oka i Czarnego Stawu, — mówił dalej poseł dr Danielak — broni całe społeczeństwo, obrońcami zaś głównymi

są mieszkańcy gminy Białki, którzy wraz z hr. Zamoyskim są współwłaścicielami spornej ziemi. Lud góralski broni ojczystej ziemi przed najazdem madjarskim. Białczanie już wiele ucierpieli z tego powodu. Oni spędzali żandarmów z terytoryum wrzekomo spornego, oni burzyli i palili stawiane tam przez Madjarów schroniska i mieli słuszność, bo to ich własność, nadana im przed wiekami przez królów polskich, na co posiadają w swojem ręku oryginalne dokumenty. Białczanie mają kwity podatkowe udowadniające, że oni z dawien dawna do najnowszych czasów płacili i płacą podatki za to terytoryum.

— Jak się pan zapatruje — zapytałem — na wynik procesu?

— Jestem przekonany, że jakikolwtek będzie wynik procesu, Białczanie nigdy tej świętej ziemi swojej odziedziczonej od ojców, a od wieków posiadanej, nikomu dobrowolnie nie oddadzą i posiadania jej bronić będą w razie ostateczności — krwią i życiem. Trzeba znać głębiej górala, by wiedzieć, jak on gorąco kocha i bronić potrafi tych swoich skał, polan i wód. Co do samych Węgrów, sądzę, że dla ich przyszłości lepiejby było, gdyby proces przegrali w Gracu. Niechaj oni sobie narodu polskiego nie lekceważą. Możemy się łatwo zrewanżować w daleko dla nich dotkliwszy sposób. Pomimo wszelkiej manji wielkości, przyszłość Węgier bardzo niepewna. Polskie społeczeństwo nigdyby nie przebolało i nie zapomniało straty Morskiego Oka i Czarnego Stawu. Strata tych jezior byłaby rozczynem do wywołania większej nienawiści pomiędzy narodem polskim a węgierskim. W tym razie oznaczała strata dla Węgier zysk, zysk zaś byłby dla nich możliwie nawet klęską.

— Dawniej — wtrąciłem — śpiewano u nas znaną piosnkę: *„Polak, Węgier dwa bratanki“...*

— Piosnka ta — przerwał mi — brzmi dziś jako gorżka ironja.

---

# Patryotyzm żydowski!

Znany malarz polski Wojciech Gerson przedstawił na swym obrazie żydów, błagających króla polskiego Kazimierza W. o przyjęcie do Polski. Nędzni, obdarci, wygłodzeni, leżą u progu królewskiego zamku i w niemej rozpaczy wyciągają ręce wołając: »Królu pomóż, zlituj się, przygarnij«. Żydom wówczas było źle, bardzo źle na świecie. Prześladowani, gnębieni, przepędzani z miejsca na miejsce, tępieni jako dzikie zwierzęta, paleni na stosach — nie mieli gdzie głowy złożyć. I ulitował się nad nimi Kazimierz Wielki, ostatni król z Piastów, przyjął ich do kraju swego, dał gościnę, dał prawa i pozwolił żyć im po ludzku.

Nie przeczuwał ten prawdziwie wielki monarcha polski, jak się haniebnie odwdzięczą narodowi polskiemu za dany im przytułek co w jaskrawy i szyderczy sposób zadokumentowali w czasie pobytu cesarza niemieckiego Wilhelma II w Poznaniu. Ród Izraëla

zapomniał o dawnych dobrodziejstwach, o wdzięczności należącej się Polakom i teraz złączył się z najzaciętszymi wrogami naszymi, żebrząc o łaskę tych, z których ręki na nas, na potomków Piasta najcięższe spadają ciosy. Nędznie zaprawdę byłby się przedstawiał Poznań w ostatnich dniach podczas uroczystości cesarskich, gdyby nie żydzi... Oni to przesadzali Niemców w oznakach wiernopoddaństwa, oni to głównie nadali stolicy wielkopolskiej wygląd uroczystościowy. Żydowskie domy najwspanialej były przystrojone, najbardziej pstrokacizną barw wpadały w oczy. Żydowstwo, widząc nas gnębionych, wcale się z nami już nie liczy i już im o nasze mienia wcale nie chodzi. Żydowstwo dba tylko o zysk, o korzyści i dla zysku gotowe wszystko poświęcić. Już raz powinniśmy zdrowo patrzeć się na obywateli żydowskiego pochodzenia. Jakieś mrzonki i złudzenia co do uczuć narodowych żydów powinnyby raz zniknąć, patrząc na codzienne dowody przewrotności żydowskiej. Kto wmawia w siebie i w społeczeństwo, że żydzi są tak dobrymi synami kraju naszego jak my sami, ten popełnia gruby błąd ze szkodą Ojczyzny. Trzeba sobie raz powiedzieć, że żydzi ani się nigdy nie czuli ani się też nigdy nie będą czuć Polakami. Interes narodowy wymaga, aby żydów o ile się tylko da unikać i w sprawach odnoszących się do społeczeństwa naszego usuwać na ubocze. Wszelkie stronnictwa polityczne chcące uchodzić za narodowe, powinny zerwać łączność i wspólność z żydami, którzy bez ogródek manifestują swe dla nas wrogie uczucia, gdzie tylko mogą i jak mogą. Jeżeli zaś odezwie się czasem przychylniejszy głos ze strony żydów to tylko są wyjątki te głosy szlachetniejszych jednostek niestety zbyt nielicznych lub też jest to tylko udany, faryzejski patryotyzm. Jak w wielu tak i w tym względzie grzeszymy niezdrową czułostkowością i dajemy się chwytać na lada zdawkowy frazes, gdy tymczasem po za tym frazesem ukrywa się wrogie postępowanie dla nas. Ten krok ostatni żydów poznańskich powinienby nas otrzeźwić, wyleczać niektóre stronnictwa polityczne z uważania żydów za »Polaków wyznania mojżeszowego«, bo oni się sami za to nie chcą uważać.

---

# Odwiedziny u ludożerców.

W przeciągu dwudziestu czterech dni błąkaliśmy się wśród oceanu Indyjskiego i zbliżaliśmy się do wysp południowej Azyi. Położenie nasze było straszne, zapasy słodkiej wody od dwóch dni wyczerpały się na okręcie, zaczęliśmy uczuwać męczarnie pragnienia, a najwyższa wyspa, do której mogliśmy przybić, była zamieszkaną przez najokropniejsze plemię ludożerców. Ale pragnienie straszniejszym jest wrogiem od najgorszych ludzi, trzeba było koniecznie poświęcić się dla ratunku całej załogi okrętowej i popłynąć po wodę do owej wyspy.

Kapitan rozkazał spuścić czółno, do którego wsiadło dwudziestu dobrze uzbrojonych majtków.

— Panie kapitanie — zapytałem — czy i mnie pozwolisz popłynąć z tymi zuchami?

— A to po co? — zadziwił się kapitan.

— Może się przydam na co. Wiesz pan, że znam trochę sztukę kuglarską, może uda mi się zająć dzikich moją zręcznością.

Kapitan przystał chętnie na moją prośbę, zabrawszy więc stoliczek i przyrządy kuglarskie, wskoczyłem do łodzi.

W miarę, jak zbliżaliśmy się do brzegu, serca biły nam coraz silniej, miotane trwogą i oczekiwaniem. Na brzegu pod drzewami siedziało kilkudziesięciu krajowców, każdy z nich na ramieniu miał tarczę, za pasem krótki i ostry miecz, oraz dziryt, łuk i strzał kilkanaście.

Widząc to jeden z majtków, zwany Morsem, zawołał:

— Oj, przeczuwam, jak gościnnie przyjmą nas te draby! Za godzinę będziemy wszyscy ugotowani. Widzicie tego hultaja, co powstał z ziemi, musi to być największy żarłok i czuję, jak mi będzie ciasno w jego żołądku.

Tymczasem czółno przybiło do brzegu, dwóch majtków w niem pozostało, aby w razie niebezpieczeństwa dać znać na okręt; dziesięciu innych wynoszą z czółna beczułki na wodę, a z resztą śpiesznie podążyłem ku gromadzie krajowców, aby im nie dać czasu do narady.

Dzicy za naszem zbliżeniem nie poruszyli się z miejsca, spojrzenia ich tylko krzyżowały się, miotając błyskawice. Chciałem ich zachwycić graniem na flecie, ale po kilku taktach zaczęli przeraźliwie gwizdać.

Nareszcie powstało trzech z gromady, a przybliżywszy się ku nam, ruchami zaczęli nas zachęcać, żebyśmy czółno wyciągnęli na brzeg, ale udaliśmy, że tego nie rozumiemy. Wtem jeden z dzikich przemówił coś krótko i groźnie, uderzył mnie tak silnie w tył głowy, że kapelusz spadł na ziemię.

Chwyciłem za rewolwer, żeby zuchwalcowi roztrzaskać czaszkę, lecz Mors wstrzymał mnie silną dłonią, szepcąc:

— Jeżeli wystrzelisz, zgubisz nas wszystkich.

Zamiast więc strzelać, zbliżyłem się do leżącego kapelusza i podrzuciłem go nogą tak, że mi wprost wpadł na głowę. Wówczas dziki, który gotował się już do powtórnej zaczepki, stanął osłupiały; poczem wszyscy trzej zaczęli mnie prosić na migi, żeby im jeszcze raz pokazał tę sztukę. Rzuciłem kapelusz na ziemię i zrobiłem to samo — dzicy zawyli z radości. Następnie wzięli mnie pod ręce i zaprowadzili pod drzewo, gdzie siedziała cała gromada dzikich.

Rozumiałem dobrze, że jeżeli zdołam zabawić ich naczelnika, zostaniemy ocaleni, jeżeli zaś nie potrafię tego dokonać, zamordują nas bez litości. Zawołałem więc na majtków, aby mi podali stolik i przyrządy kuglarskie.

— Zróbcie mi miejsce — rzekłem, ustawiając stolik — będziemy bawić dzikusów. Ty Morsie będziesz przedstawiał błazna.

Mors natychmiast zabrał się do dzieła, zakreślił dokoła stoliczka wielkie koło i pokazał dzikim na migi, że jestem bożyszczem, od którego zdaleka stać trzeba, przyczem mówił z uprzejmym uśmiechem, wiedząc, że go wcale nie rozumieją:

— Wytrzeszczajcie wasze sowie ślepia!

Dzikich było przeszło stu, nie mogliśmy nawet marzyć o walce.

Z wielkim zapałem zabrałem się do przedstawienia sztuk kuglarskich. Najpierw uderzyłem laską o stolik, ze stolika wyskoczyła doniczka z kwitnącą różą, a gdy się znów dotknąłem laską doniczki, ta zniknęła natychmiast. Następnie robiłem to samo z pierścieniem i kulkami. Dzicy z głupowatą ciekawością, z wyciągniętą szyją i otwartą gębą ścigali oczami każde poruszenie rąk moich, a gdy zacząłem połykać noże i sztylety, wydawali takie okrzyki, żem drżał ze strachu, aby zachwyceni moją zręcznością, nie zechcieli mnie na zawsze zatrzymać przy sobie. Ale chęć uniknięcia śmierci pobudzała mnie do coraz nowych popisów, a podziw dzikich wzrastał do szaleństwa.

Jednocześnie Mors doskonale udawał błazna. Wykrzywiał się w najzabawniejszy sposób, przewracał kozły — tak, że i on wkońcu pozyskał względy ludożerców.

Pragnąc jeszcze bardziej wkraść się w łaski dzikich, pokazałem ich naczelnikowi kilka świecidełek, o które zaraz poprosił. Przysiadłszy więc przy nim, założyłem mu w uszy kolczyki mosiężne, na szyję włożyłem mu paciorki ze szkła czeskiego, na ręce zaś branzolety. Był tem zachwycony, potrząsał rękami, przyczem branzolety brzęczały i rzucały blaski.

Następnie pokazałem, że go chcę uściskać. Zrobił minę niezadowoloną, ale pomyślawszy, zgodził się na moją prośbę. Powstał, oparł mi na ramionach ręce i wskazał, abym to samo zrobił. Poczem potarliśmy się nosami tak silnie, żeśmy obaj kichnęli. Tym sposobem zawarliśmy z sobą tak wielką przyjaźń, że niewiele brakowało, aby mnie kazał upiec na wolnym ogniu.

Ciąg dalszy nastąpi.

# ANTONI DRUO.

Pewnego dnia 1791 r., a więc sto jedenaście lat temu, na początku wojen, które Francja musiała prowadzić przez ciąg lat dwudziestu pięciu, w sali jednego z pałaców, miasta francuzkiego Metz, uczony Laplas egzaminował młodzież, pragnącą wstąpić do szkoły artylerzystów.

Ponieważ wymagano od kandydatów poważnych, a zatem kosztownych nauk, do egzaminów stawili się tylko synowie rodzin zamożnych.

Nagle, w połowie posiedzenia, ukazał się w sali siedemnastoletni chłopak,którego obejście się i ubiór wielce się różniły od strojów i zachowania się osób znajdujących się na sali. Kurz, okrywający jego obuwie i kij sękaty w ręku, świadczyły, że chłopak ten daleką musiał odbyć drogę.

Wejście tego chłopaka wzbudziło ogólne zdziwienie, a skoro przedarł się bez ceremonii przez tłum, aby usiąść na ławce kandydatów, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

Każdy sądził, że tu zaszła jakaś pomyłka; nawet profesor Laplas, przerwał swą pracę i zapyłał chłopaka, że zapewne nie wie, gdzie usiadł i w jakim celu.

— Przepraszam pana — odpowiedział chłopak — wpisałem się na listę kandydatów i przychodzę złożyć egzamin.

— Jak się nazywasz?

— Antoni Druo, pochodzę z Nancy.

Laplas wziął listę, na której spisane były nazwiska kandydatów i przebiegł ją szybko oczyma.

— Prawda — rzekł — poczekaj, aż kolej przyjdzie na ciebie.

I zadawał pytania innym kandydatom, nie mogąc się wstrzymać, aby od czasu do czasu nie spojrzeć na nowego przybysza. Nareszcie przyszła kolej na Antoniego Druo, wtedy usłyszano coś istotnie niezwykłego. Chłopak nietylko odpowiadał bez wahania na każde pytanie programu, ale i na mnóstwo innych, które mu zadawał profesor, aby się przekonać, jak rozległą była wiedza tego, którego przyjął z takiem niedowierzaniem. Chcąc mu to wynagrodzić, zbliżył się do Antoniego po ukończeniu egzaminów i wobec wszystkich uściskał go serdecznie.

Tak więc, Antoni Druo, którego z początku wzięto za jakiegoś niedołęgę, zabłąkanego przypadkiem między uczonych, zdobył sobie odrazu poszanowanie całego zgromadzenia: obsypano go oklaskami, winszowano mu, noszono na rękach.

Posłuchajmy teraz w jaki sposób ten ubogi chłopiec doszedł do tak wielkiej nauki.

Antoni był jednym z dziesięciorga dzieci ubogiego piekarza z miasta Nancy. Ojciec zaledwie mógł go nauczyć z biedą czytać i pisać, bo mały Antoś od wczesnego dzieciństwa musiał mu pomagać w pracy — rozrabiać ciasto, wypiekać chleb i bułki.

Chłopak nie narzekał na pracę, ale dusza jego pragnęła nauki. Jak tylko znalazł wolną chwilę, biegł na miasto i starał się o książki, które Bogu tylko wiadomo, z jaką czytał chciwością. Nie mając pieniędzy na kupowanie książek, pożyczał je od leniwych uczniów, którzy się ze swemi książkami chętnie na dłuższy czas rozstawali. Ale Antoniemu nawet kilka dni wystarczało, aby zapamiętać treść pożyczonej książki, albo wypisać z nich ważniejsze ustępy.

Tą gorącą chęcią nauki Antoni zwrócił wreszcie na siebie uwagę pewnego nauczyciela, który pomagał mu radą i wypożyczaniem stosownych książek.

W ten sposób młody chłopiec prawie o własnych siłach, zarabiając ciężko na chleb w piekarni, nauczył się więcej, niż uczono w szkołach, a przedewszystkiem nabył gruntownej znajomości wyższych rachunków, do których miał szczególną zdolność.

Zaczął rok siedemnasty, gdy się dowiedział z gazet o egzaminach do szkoły artylerzystów w Metzu.

Skoro powiedział rodzicom, że ma zamiar stanąć między kandydatami, ojciec rzekł:

— Masz słuszność, chłopcze, kto nie ryzykuje, ten nic zyskać nie może; jeżeli ci się nie powiedzie, będziesz mógł powrócić do domu i zająć się piekarstwem.

— Idź, mój Antosiu, — dodała matka — niech cię Bóg błogosławi.

Antoni napisał przez pocztę, aby go umieszczono na liście kandydatów.

Ponieważ miał przebyć pieszo około piętnastu wiorst, rodzice kupili mu nowe buty, dali sześć franków (sześć koron) na drogę i kij sękaty. Tak zaopatrzony szedł Antoni, aby zostać przyjetym do wyższej szkoły wojskowej i w przyszłości stać się jej chlubą.

Skończywszy szkołę, służył chlubnie krajowi swemu zarówno w czasie wojny, jak i podczas pokoju. Walczył odważnie, a dane sobie rozkazy spełniał tak wiernie, że cesarz Napoleon mianował go przybocznym swym jenerałem.

Doszedłszy do najwyższych godności, był zawsze taki prosty i skromny, jak w dniu, w którym opuścił rodzicielską piekarnię. Jego poczciwość, obojętność na bogactwa i wspaniałomyślność, weszły w przysłowie.

Powiadał o sobie, że najwięcej pomagało mu w życiu to, że się nigdy nie bał ani ubóstwa ani śmierci.

Wróciwszy na starość do swego rodzinnego miasta Nancy, Druo zajmował się naukami, rolnictwcm i wspieraniem ubogich. Raz zdarzyło się, że poodpruwał złote galony od swego munduru, aby dopomódz jakiemuś biedakowi.

Gdy jeden z jego bratanków powstał przeciwko temu, utrzymując, że ten mundur powinien być najcenniejszym dziedzictwem dla jego potomków, miłosierny starzec odparł z prostotą:

— Uczyniłem to naumyślnie, aby moi bratankowie nie zapomnieli, że są wnukami ubogiego piekarza.

---

# Pomysły pruskie do przemielenia nas na Niemców.

Nad wymyślaniem coraz to nowych sposobów zamienienia nas hurtownie na Niemców, łamią sobie głowę kierownicy roboty germanizacyjnej.

Czytając niemieckie gazety hakatystyczne, zastanawia ogromne bogactwo projektów.

I tak jedni domagają się, aby nietylko reszta urzędników Polaków została wydaloną na zachód Niemiec, ale aby przeniesiono także i urzędników Niemców, których opinia posądza o to, że Polakom choć trochę sprzyjają.

Inne znowu pisma domagają się rozwiązania wszystkich polskich Towarzystw i zawieszenie wydawnictwa pism polskich. I owszem, pisma polskie mają być wydawane dla Polaków, ale ze strony rządowej, niemieckiej. Ma to być jeden z najlepszych sposobów zniemczenia nas, gdy po polsku będą nam chwalić niemiecką kulturę i niemiecką bojaźń Bożą.

Pewna grupa hakatystów żąda, aby urzędnicy niemieccy w stronach polskich umieli dobrze po polsku i tylko w tym języku z Polakami rozma-

wiali. Takim sposobem Połacy grzecznie na polski sposób obsługiwani przez Niemców, ani się spostrzegą, jak zaczną się łączyć z Niemcami i utoną w bezdennem morzu germańskiem.

Jakiś pismak żąda przysyłania do nas urzędników surowych, nieubłaganych, trzymających Polaków grozą, drugi pismak przekonywuje, że więcej zrobi dla niemieckiej ojczyzny liziłapa i chytry obłudnik, bo na tym się niełatwo Polacy poznają.

Znalazł się i taki niemiecki patryota, który podaje swoim landsmannom nowy, nierozważony jeszcze środek:

Usunąć dzieci polskie zupełnie ze szkoły, nie dać im wcale nauki. Polskie dzieci bez niemieckiej kultury pogłupieją, a gdy już dorosną, to będzie z niemi sprawa łatwa, ogłosi się ich za głuptasów, wyjętych z pod prawa.

Cóż, kiedy jakiś hakatysta po przeczytaniu tej recepty uderza na trwogę i wzywa rząd, aby nie uległ takim żądaniom.

Polskie dzieci zwolnione ze szkoły niemieckiej, cały czas gotowe poświęcać temu, aby się uczyć po polsku, a że to naród do języków zdolny, nauczą się i same po niemiecku. Czas. który teraz trawią na historyę pruską i śpiewanie pruskich hymnów, gotowe poświęcić nauce obcych jeszcze języków. I taki wykształcony naród byłby dopiero niebezpieczny Niemcom, umiejącym tylko po niemiecku i uczącym się tak trudno innych języków. Więc lepiej dzieci polskie trzymać w szkole choć do 18 lat życia.

Tych i tym podobnych rozpaczliwych projektów jest tak wiele, że poza nimi nie trudno dostrzedz zupełnego bankructwa systemu wanarodowienia Polaków.

My Polacy wiemy, że przyjdzie na nas jeszcze dużo złego, bo Niemiec, gdy się uprze na nas, to jest bardzo upartym, ale wiemy niemniej i to, że niema na świecie siły, którąby nas mogła zniweczyć.

Odczekamy i przeczekamy wszystkie te nowe sposoby — nieugięci!

## Rozumna młodzież.

We wsi Blizocinie zebrało się w ostatni Nowy Rok 17-tu chłopców, mających mniej więcej po lat 15 i postanowili sobie dobrowolnie, aby żaden z nich nie wkładał się do palenia tytoniu. Skłoniło ich do tej uchwały to, iż się dowiedzieli i zrozumieli, że palenie tytoniu jest b a r d z o s z k o d l i w e i dla zdrowia i dla kieszeni.

Umowa ta, czy, jak mówia, uchwała świadczy bardzo dobrz.e i o samych chłopcach w Blizocinie i o rodzicach, którzy ich wychowali

Syn zamożnego gospodarza w Drążgowie, tej samej parafii, Sebastyan Redas, dowiedziawszy się o takim rozumie i dobrej woli chłopców, podarował im po drzewku owocowem. W d. 28 marca zostały drzewka posadzone i teraz chłopcy, w nagrodę rozumnego swego postanowienia, za parę lat będą mieli owoce. Daj Boże, aby im się te wszystkie drzewka przyjęły! Daj Boże, iżby i inni, zamiast co kupują tytoń i wydają na niego po kilka złr. rocznie, kupowali lepiej od dobrych ogrodników drzewka owocowe i pielęgnowali je; mieliby z tego o wiele więcej korzyści.

Dzieci okradają nieraz rodziców, aby tytoniu kupić, kradną i owoce, bo ich nie mają, bo pieniądze, za które ojciec co rok mógłby kupić kilkanaście sztuk drzewek, poszły z dymem w powietrze.

W kilka dni po powyższej uchwale naszych chłopców, prawie wszystkie dzieci ze wsi Blizocina, mniejsze i większe, chłopcy i dziewczęta, zasadziły gaik na pastwisku gromadzkiem i zobowiązały się, o ile możności, pielęgnować go i chronić, aby drzewek bydło nie niszczyło. Gdyby tak co rok kawałek pastwiska zadrzewiono, to z czasem byłby las, z którego wielką korzyść miałaby cała gromada, bo i bydło paśćby się w nim mogło i drzewa na opał starczyłoby dla wszystkich.

---

# POŻARY I ZGLISZCZA

POWIEŚĆ

**NA TLE POWSTANIA STYCZNIOWEGO.**

(Ciąg dalszy).

— Co ci, Władko? — spytał pokornie już...

Pasowała się ze skargą i wybuchnęła nareszcie.

— I ja teraz żałuję, żeś mnie wydarł śmierci w Ekaterymburgu! Nie narzekałbyś może!...

— Władko!

— Mój jedyny! Nie gniewaj się ty na mnie! — zawołała ręce składając — ja dość cierpię sama, za nas oboje! Szczęścia każdy pożąda, ja jedna chyba tylko boję się go, okropnie boję! O Aleks — nie lękam się niczego z tobą — niczego — nawet śmierci, a szczęścia z tobą się lękam — ach, lękam!

— Dlaczego — Władko?

Po twarzy jej przeszła śmiertelna bladość.

— Bo szczęście to grzech. za który się śmiercią płaci — wyjąkała. — A jabym tak chciała żyć teraz!

— I nigdy mi go nie dasz — i sama nie weźmiesz? — spytał już spokojnie.

— Tam za Oceanem, Aleksandrze, gdzie nas nikt nie znajdzie!

— Któżby nas miał szukać?

— Nieszczęśliwych nikt — a szczęśliwych...

— Kto — jedyna?

— Czaplic! — szepnęła wzdrygając się cała.

— Czaplic? powtórzył — zkąd ci ten człowiek na myśli?

— Bo on mi zaprzysiągł szczęście wziąć!

— Śmierć weźmie, gdy mi się na oczy nawinie! Dosyć on nam już wziął — niech on się lęka obrachunku.

Ale ona nie rozpogodziła się wcale w obec jego pewności.

— A jednak ciebie w puszczy odnałazł i zgubił — szepnęła.

— Grobu Makarewicza nie przekupi jak chłopa. Tajemnicy naszemu staremu nie wydrze — rzekł.

— Mnie będzie ścigać! Ach, gdybyż prędzej za Ocean!
— Jedźmy więc na »Annie Luizie.«
— I znowu ty jak wyrobnik, sto razy życie ważąc w nieznanej służbie! A tam jak dwoje rozbitków!
— Co to znaczy wobec twego spokoju.
— Zawsze ja!
— Zawsze! — potwierdził z jasnym już uśmiechem. — Com ja był i jestem wart bez ciebie!
— Nic ci nie dałam prócz męki i trudu.
— I ja tobie toż samo! — dodał, do rąk jej się chyląc. — Ale teraz bliski koniec cierpienia! Tam za morzami odetchniemy nareszcie. O takem tego spragniony. Jedźmy, Władko, na »Annie Luizie«. Zginie tam w Ameryce po nas ślad wszelki; gdzieś w puszczy osiądziemy we dwoje, od ludzi zdala. Ziemię na pół darmo kupimy, drzewo zwalę, chatę ci postawię na trzebieży — i odpoczniemy! Nie bój się, jedyna, naszej nędzy! I skały nie ostoją przed moich rąk dwojgiem, gdy dla ciebie pracować będę. O słońce mego żywota, żebyś ty wiedziała, jaką ty mi siłę dajesz!
— Jedźmy! — zawołała podniecona.
Przy jego słowach opadał jej lęk nerwowy. Jak z za czarnej chmury błysnął dziki krajobraz w puszczy i ta cicha chata własna i skraj trzebieży jego potem wydarty — i spokój odludzia. Dusza jej się tam rwała.
Od ludzi precz — daleko! — dodała ze wstrętem.
— A zatem ruszamy. — Policzmy kapitały! — zawołał.
— Żeby teraz ta szkatułka skradziona z tarantasem podczas mojej choroby! — westchnęła.
— Kupilibyśmy całe Stany Zjednoczone i byłabyś królową. Moja wina, alem wtedy o całym świecie zapomniał, gdyś mi ginęła w oczach! Mniejsza z tem. Sto rubli mamy. Jutro się w załogę zapiszę i twój przejazd opłacę! Byle prędzej!
Tego wieczora wesoło było na facyatce i długo w noc roili o lepszej przyszłości biedacy. Bardzo późno pożegnał Swida Władkę, i zeszedł na nocleg do stróża. Ale go sen nie brał i ledwie świt zerwał się i pobiegł na statek załatwić formalności.
Musiało mu się dobrze powieść, bo z wesołą twarzą zjawił się u Władki popołudniu.
— Gotowo! — zawołał — i lepiej niż się spodziewałem. Wzięto mnie za zapłatą nawet! Bodajto taki wzrost i ramiona. Jutro o dziesiątej rano wyjeżdżamy. Możemy pakować manatki!
— Nie wiele będziemy mieli fatygi! -- uśmiechnęła się.
W dwie skrzynki zmieściło się mienie wychodźców.
Wśród nagich ścian izdebki spożyli ostatni posiłek i jak ptaki wędrowne czekali słońca do odlotu. Nagle przypomniała Władka o robocie powierzonej jej przez jakąś panią z przedmieścia i zerwała się iść, zwrócić zaczętą i za mitręgę przeprosić.
— Ja pójdę! – ofiarował się Świda — bobym tu nie wytrzymał w niepokoju o ciebie samą, wśród gawiedzi studenckiej!
Zgodziła się chętnie. Nie cierpiała ulicznego zamętu.

Wziął więc węzełek z bielizną i skacząc po trzy stopnie, zbiegł na ulicę. Spieszno mu było wrócić.

Zmierzch zgęstniał zupełnie, gdy wracał i znów z niecierpliwością przypomniał sobie, że w fabryce zostawił parę narzędzi własnych, a stróż był mu winien parę rubli. Zawrócił więc na most i na dobrze sobie znaną, czarną od węgla fabryczną ulicę. Wydawała mu się uroczą, gdy wspomniał, że ani jutro, ani nigdy już nie będzie jej mierzył krokami.

Stróża nie zastał. Żona powiedziała, że wnet wróci i tą obietnicą zatrzymała go na gawędce dobrą godzinę. Gdy już odejść chciał, niespokojny o Władkę, stróż się zjawił.

Okazało się, że uiścić się nie miał czem, ale narzędzie wydał a posłyszawszy, że Polak jutro wyjeżdża za Ocean, nie ustąpił od poczęstunku. Darmo się wyrywał Świda, złorzecząc swej chęci odzyskania długu i gadulstwu — nic nie pomogło! Musiał przyjąć fundacyę pod »Kulą« i wysłuchać narracyi o bracie »Fritzu«, który się przed dziesięciu laty wysiedlił, w Ameryce ożenił, osiadł na stałe, i wzywał brata »Hansa«, obiecując złote góry w nowej ojczyźnie.

Do rozmowy przyłączyli się i inni goście Bawaryi i Świda sam nie pamiętał ile mu te toasty, pożegnania, życzenia i westchienia zazdrości zmitrężyły czasu.

Gdy się wykradł prawie z pośród biesiadników, późna noc była.

— Dobry ze mnie posłaniec! — zamruczał do siebie. Pije z hałastrą szwabów po szynkach, a moja Władka czeka i niepokoi się o mnie! No, a tam co znowu. Mordują kogoś,

Zatrzymał się mimowoli.

Przed nim na moscie słychać było szamotanie i zduszone wołanie o ratunek. Sekundę to trwało i nagle czarny kształt zawirował w powietrzu nad rzeką trzepocząc się jak potworny nietoperz i z pluskiem wpadł w wodę. Szum Dźwiny zagłuszył przeraźliwy krzyk tonącego — i wszystko ucichło.

Piskliwa świstawka policyanta rozdarła ciszę — na moście rozległy się prędkie kroki.

— Człowiek tonie! — Ratujcie — rozległo się donośnie.

Wokoło Świdy zebrała się gromadka ciekawych. Na rzece wynurzyła się głowa śmiertelnie blada i ręka bezwiednie chwytająca wodę, szukająca oparcia.

— Utonie — utonie! Już go nie ma! — wołano.

Świda popatrzył, przeżegnał się i skoczył w wodę.

Topielec wynurzył się raz jeszcze koło filaru, nie miał sił do krzyku, prąd go niósł szybko. Ratujący gonić go musiał całą siłą swych potężnych ramion. Na brzegu gromadziło się coraz więcej ludzi, spuszczano szybko łodzie ratunkowe.

Zanim dobiegły, Świda już uchwycił zmartwiałe ramię tonącego i z ciężarem swym wybił się na wierzch. Twarz wybawionego i zbawcy znalazły się jedna obok drugiej. Świda spojrzał przelotnie i odrzucił się w tył gwałtownie.

Miał przed sobą siną, wykrzywioną strachem twarz — Dominika Czaplica.

— Rzuć! — krzyknął mu jakiś głos wewnątrz, rozkazujący i dziki. — Rzuć, rzuć! Niech ginie!

Światełko łodzi podbiegało bliżej — nim dobiegnie, topielec pójdzie na dno. Duszę czart weźmie, a ciało rzucać będzie morze od brzegu do brzegu, bez mogiły i pamięci! A Władka i on wolni będą i spokojni.

— Rzuć! — wołało w duszy Świdy!

Nie zdołał otworzyć dłoni. Cość ją zaciskało, coś cichego bez głosu, silniejszego nad tamto wyjące, mściwe. Nie potrafił rzucić na pastwę śmierci bezbronnego wroga! Raz drugi miał go w swem ręku o krok zatraty i nie zdołał się zemścić.

Nagle ta twarz martwa, dłonią Świdy podtrzymywana na powierzchni rzeki, ożywiła się, zadrgała. Otworzył błędne oczy, ze skrzywionych ust wydarł się jakiś jęk i skonał niedomówiony.

Spojrzeli na siebie. Świda ponuro. — Czaplic ze zgrozą przerażenia i dziwu, jakby upiora ujrzał.

Światełko łodzi podbiegło tuż. Rzucono sznur. Aleksander uchwycił go, brzed łodzi otarł się o nich. Silne ramiona wciągnęły Czaplica, sięgnęły po drugiego, ale ten, jak widmo zniknął im z oczu. Dał nurka — wynurzył się o parę sążni dalej, znowu poszedł pod wodę i gdzieś przepadł bez wieści.

Druga łódź ruszyła w jego ślady, myślano, że go kurcz chwycił, ale po godzinie wróciła z niczem. Dzielnego obrońcy nie było śladu.

Zobaczyła go nad ranem Władka, czuwająca w strasznej trwodze noc całą.

— Miałeś wypadek? — spytała, rada, że żyje jeszcze.

— Miałem! — rzekł głucho. — Spotkałem upiora!

— Czaplica! — krzyknęła.

— Czaplica! — potwierdził.

— Już! Już idzie po nas! — jęknęła.

— I na mojej woli był — i dałem mu żyć! — rzekł spokojnie. — Takie już moje przeznaczenie.

— Coś zrobił, Aleks?! Gdzie on?

— On tonął! Opadnięto go na moście i zapewne ograbiwszy — rzucono w rzekę. Byłem o krok, poszedłem ratować. Chwyciwszy, poznałem kto...

— A on, on! Widział ciebie?

— Widział, bo otworzył oczy, zanim go w łódź włożyli.

— A zatem — już po nas! — wymówiła głucho, osuwając się na krzesło, osłabła.

— Boża wola! — wymówił poważnie. — Nie mogłem mu zginąć dać martwemu w omdleniu, nie mogłem, bo kiedyś przed sądem Bożym staniemy i nie chcę być nazwany tam zbrodniarzem, i by się on zrównał ze mną. Dwa razy go wyratowałem może sobie na zgubę — nie przemogę woli Bożej i mego przeznaczenia, ale zabić go bezbronnego nie potrafię!

Władka spojrzała ku niemu. Twarz miał pogodną, a w oczach wielką jasność, a tak przejrzyste były jego sokole źrenice, że się przed niemi powstydziła swej słabości i lęku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

# Kronika i rozmaitości.

**Dla pięciu gmin**, dotkniętych gradobiciem w pow. Krakowskim przeznaczył Wydział krajowy 1000 koron.

**O pobiciu żydów w Częstochowie** donosi „Górnoślązak" następujące szczegóły: Zaburzenia miały charakter bardzo poważny i obfitują w smutne następstwa. Powód rozruchów miał być następujący: Pewna 70-letnia ułomna staruszka zakupiła na targu od żyda straganiarza beczkę śliwek, w domu jednak spostrzegła, iż została oszukaną, gdyż cała beczka śliwek była zgniłą, tylko kilka wierzchnich warstw było zdrowego owocu. Staruszka odniosła owoc i zażądała zwrócenia zapłaconych pieniędzy. Kupiec jednakże uczynić tego nie chciał. Staruszka rozpoczęła z nim zwadę, na której odgłos przybiegło wielu żydów i tak ją mieli pobić, że wyzionęła ducha. Tymczasem coraz więcej chrześcijan się zbierało, bo lotem błyskawicy rozniosła się po mieście wiadomość, „że żydzi zamordowali chrześcijankę" i coraz większe masy ludności chrześcijańskiej zaczęły się rzucać na żydów. Nie przebierano, winny czy niewinny, bito żydów kijami, rzucano kamieniami, szturmowano i plądrowano sklepy. Masy chrześcijańskich robotników przeciągały ulicami, tłukąc szyby w żydowskich domach i niszcząc meble. Poduszki i pierzyny żydowskie rozpruwano i pierze wypuszczano na cztery strony świata.

W piątek zrana o godzinie 3 zawitali kozacy z Będzina. Nahajami zabili na miejscu 2 osoby, a 12 ranili tak ciężko, że o utrzymaniu ich przy życiu powątpiewają. Aresztowano około 100 osób, między niemi 2 księży, których na razie umieszczono w hotelu. Później nadciągnęły oddziały wojska ze wszech stron, z Piotrkowa, z Radomska itd. Gubernator piotrkowski był sam na miejscu, przybył także nadprokurator z Warszawy, który czynił natychmiast „sprawki". W piątek po południu miasto dziwny przedstawiało obraz; oddziały kozaków przeciągały ulicami, policyanci i żandarmi prowadzili aresztowanych robotników, których zebrali z pomieszkań i z fabryk. W piątek po południu w mieście panował spokój, wieczorem przybyły jeszcze oddziały wojska.

**Poświęcenie szkoły**. W Milówce odbyło się poświęcenie szkoły ludowej, zdobytej wielkim trudem. W pięknych i podniosłych słowach przemawiał tutejszy ks. proboszcz, później inspektor żywiecki, następnie zastępca wójta, podnosząc zasługi tych, którzy bezinteresownie starali się dzieło do skutku przeprowadzić. Szczególnie należy się uznanie p. rejentowi Karolowi Drozdowskiemu, który spokojnie, bez rozgłosu, systematycznie dążył do celu; za jego to staraniem, za jego inicyatywą stanął ten piękny gmach na pożytek narodu.

**Fałszowanie wódki**. We wielu szynkach odkryto tymi dniami zapasy fałszowanej wódki. Fałszerstwa dokonywano przy pomocy wapna niegaszonego, tytoniu, sporyszu i innych trucizn, ale mimo tego żydom karczem nie pozamykano. Kto truje lud? Karczma. Kto jest trucicielem? Karczmarz.

**Ukarane wiarołomstwo**. W „Gońcu Łódzkim" czytamy: „W tych dniach państwo X. właściciele majątku ziemskiego pod Szadkiem w gubernii Kaliskiej, byli świadkami niezwykłego widowiska. Chłop i baba, ubrani w końskie chomąta na plecach, z wędzidłami w ustach ciągnęli w zaprzęgu wóz. Powoził nimi parobek, a otaczał tłum wieśniaków z batami i kijami, nie szczędząc oryginalnym „koniom" razów. Zaciekawieni państwo X. dotarli niebawem przyczyny dziwnego prześladowania. Chłop żonaty zdradzał żonę z inną dziewczyną. I oto cała gromada wiejska wymierzała wiarołomnemu mężowi i lekkomyślnej dziewczynie sprawie-

dliwość w ten sposób. Żona wspaniałomyślnie szła za pochodem i płacząc prosiła, aby winę darowano jej mężowi i nie robiono mu wstydu.

**Przedpotopowy oszust.** Niejaki Józef Wuhack, tokarz w Badenie pod Wiedniem wpadł na pomysł fabrykowania kości kopalnych „przedhistorycznych". Zbierał kości jakieś na polu i rył i rzeźbił na nich różne figury. Niektórzy dali się oszukać; jakiś doktor wziął jednę taką płaską kość z grupką figurek za przedhistoryczne wspomnienie potopu! Gdy jednak tokarz chciał swoją kolekcyę sprzedać muzeum dworskiemu, kustosz Szombathy zdemaskował go i oddał w ręce sądu, który skazał pomysłowego jegomościa na tydzień kozy.

**Zabity przez meteor.** W San Antonio, stanie Amarkt Texas, w dniu 18 sierpnia Roman Cruise, staruszek około 60 lat liczący poniósł śmierć w niezwykły sposób. Pasąc owce, usiadł na wielkim kamieniu i zatopił się w czytaniu interesującej książki. Nagle spadł wielki meteor i z całą siłą uderzył w ów kamień. Czterofuntowy odłam meteoru uderzył Romana Cruise w głowę i zabił go na miejscu.

**Kaplica ekspijacyjna.** W Monzy, na miejscu, gdzie został zamordowany, temu dwa lata, król Humbert, stanie kaplica ekspijacyjna. Będzie ona wykończona na trzecią rocznicę strasznego zamachu, t. j. 29 lipca 1903 r. W środku kaplicy ustawioną zostanie grupa polichromiczna marmurowa N. Maryi Panny Bolesnej ze zmarłym Chrystusem na kolanach. Płaszcz Matki Boskiej będzie z czarnego marmuru, suknia z czerwonego, żółtawy marmur użytym będzie do rąk i twarzy.

**Pogrzebana żywcem.** Okropny przypadek pogrzebania żywcem osoby, pozornie zmarłej, zdarzył się niedawno w Buenos Ayres. Piękna, 18-letnia panna Cambaceres, należąca do najwyższych sfer stolicy Argentyny, padła pozornie bez życia podczas nakładania na głowę kapelusza, wybierając się do teatru. Stosownie do regulaminu, obowiązującego w stolicy Argentyny, pochowano ją w ciągu doby. Po kilku dniach ktoś rozpuścił pogłoskę, że pannę otruto, władze więc nakazały ekshumacyę zwłok. Gdy otworzono trumnę, obecnym ukazał się straszny widok. Welon, którym okryto głowę zmarłej, był zdarty, twarz podrapana, wargi pogryzione i ręce zaciśnięte kurczowo. Najwidoczniej pochowano nieszczęśliwą żywcem. Zamknięta w trumnie walczyła napróżno, aby się z niej wydostać.

# Odpowiedzi od Redakcyi.

**P. Majcherek.** O stypendyach dla włościan nic nie wiemy i nic nie słyszeliśmy. Są tylko w Wydziale krajowym niektóre stypendya dla synów włościańskich, uczęszczających do szkół, ale dla biednych włościan grspodarzy stypendyów nie ma. Markę zapisujemy na prenumeratę za ten rok.

**P. Rogóż.** Pieniądze otrzymaliśmy.

**Z targów zbożowych.** Kraków, dnia 16 września. Płacono za 100 kilogr. netto Pszenica od 14·80 do 15·90; — Żyto od 13·20 do 14·55; Jęczmień od 12.— do 12·30; — Owies z opłatą akcyzową od 12·50 do 13·10; — Groch od 18·— do 26·—; — Tatarka od 14·— do 19·—; — Proso od 11·— do 14·—; — Fasola od 14·— do 18·—; — Jagły od 18·— do 24·—; Siano od 4·60 do 5·60; — Słoma od 3·60 do 4·—; — Koniczyna na paszę od 5·60 do 6·—; — Ziemniaki za hektolitr od 2·80 do 3·60; — Jaja za kopę od 2.80 do 3.30; — Masło za garniec od 5·50 do 6·30. Wszystko liczono w koronach.

**Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.**

Najwyższe odznaczenie na wystawach światowych w Paryżu, Londynie, Wiedniu i Marsylii, dyplomy honorowe i złote medale otrzymał




# „SAPOMENTHOL"

wyrobu **EUGENIUSZA MATULI**

**aptekarza w Radomyślu koło Tarnowa (Galicya).** Maść ta znana od lat wielu ze swej skuteczności używaną bywa przez P. P. Lekarzy przeciwko **cierpieniom reumatycznym, gościowym, suchym bólom i pokrewnym.**

Cena za mały słoik **1 kor. 40 hal.**. za duży **5 koron.** Po otrzymaniu należytości lub za zaliczką wysyła dwa razy dziennie wprost: Apteka i Laboratoryum chem. farmaceut. **Eugeniusza Matuli**, Radomyśl koło Tarnowa (Galicya), gdzie też zamówienia przesyłać należy.

Przesyłając pieniądze, dołączyć należy 72 h. na przekaz i opłatę pocztową.

**Żądać wyraźnie: SAPOMENTHOL wyrobu EUGENIUSZA MATULI i przyjmować tylko oryginalny w opakowaniu, jak obok rysunek. Ostrzega się przed naśladownictwami. Nazwa, opakowanie i marka ochronna prawnie zastrzeżona.**

# 40 morgów pszennej gleby

w całości lub częściowo, w powiecie stryjskim pod korzystnymi warunkami ma zaraz do sprzedania **Wacław Pikaus** w **Tejsarowie, pow. Bilcze-Wolica.** 2—3

# ŻUŻLE.

Mączka Tomsa do nabycia za gotówkę i na kredyt w handlu

**JÓZEFA KRAWCZYŃSKIEGO**

w Nowym Sączu, ul. Lwowska. — 3

Wydawca: **Franciszek Ptak.** — Redaktor odpowiedzialny: **Władysław Jaśko.** — Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.